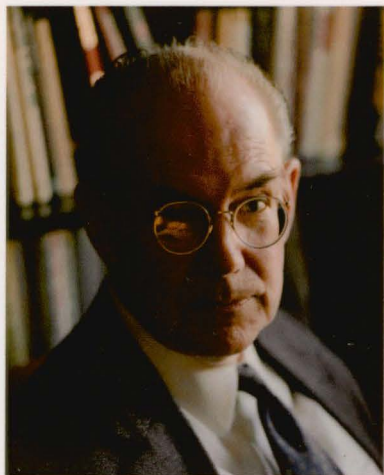




John J. Mearsheimer

TRAGIZM POLITYKI MOCARSTW

universitas



John J. Mearsheimer jest profesorem nauk politycznych na Uniwersytecie w Chicago, gdzie został wyróżniony tytułem R. Wendell Harrison Distinguished Service Professor of Political Science. Wśród jego licznych publikacji znajdują się *Lobby Izraelskie w USA* oraz *The Great Delusion: Liberal Dreams and International Realities*.

TRAGIZM

POLITYKI MOCARSTW

R E D A K C J A

J A N S A D K I E W I C Z



W Y D A N E

Adolf Bocheński, *Niemcy, Rosja i racja stanu. Wybór pism 1926–1939*

Władysław Studnicki, *O przymierze z Niemcami. Wybór pism 1923–1939*

John J. Mearsheimer, *Tragizm polityki mocarstw*

W P R Z Y G O T O W A N I U

Aleksander Bocheński, *Dzieje głupoty w Polsce. Pamflety dziejopisarskie*

John J. Mearsheimer

TRAGIZM
POLITYKI MOCARSTW

przekład

Piotr Nowakowski
Jan Sadkiewicz

Kraków

Copyright © 2014, 2001 by John J. Mearsheimer
All rights reserved

Tytuł oryginału
The Tragedy of Great Power Politics

Wydawca oryginału
W.W. Norton & Company

© Copyright for the Polish edition by Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2019

© Copyright for the Polish translation by Piotr Nowakowski, Jan Sadkiewicz
and Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2019

ISBN 978-83-242-3477-6
e-ISBN 978-83-242-6430-8
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Jan Sadkiewicz

Współpraca
Mateusz Ambrożek, Stanisław Sadkiewicz

Projekt okładki i stron tytułowych
Jan Sadkiewicz

Na okładce
Carl Hassmann, *The Hague peace congress – a laugh from the gallery*,
„Puck”, t. 61, nr 1574 z 1 maja 1907.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**



Przedmowa do wydania polskiego

Polska to – obok Korei – jeden z dwóch krajów, które w ciągu ostatnich dwustu lat były najbardziej narażone na agresję. Oba państwa mają potężnych sąsiadów, którzy wielokrotnie usiłowali narzucić im swoją dominację lub wręcz dokonać podboju. Polska przez znaczną część swojej historii graniczyła z Niemcami i Rosją; miała też wspólną granicę z Austrią, gdy ta ostatnia zaliczała się do grona mocarstw. Korea z kolei leży między Chinami, Japonią i Rosją. Nie powinno więc dziwić, że zarówno Polska, jak i Korea, padały łupem silniejszych sąsiadów i znikwały z mapy świata na długie lata. Norman Davies nie bez powodu określa Polskę mianem „Bożego igrzyska”.

Historia Polski powinna skłaniać jej mieszkańców do studiowania polityki międzynarodowej, by mogli zrozumieć jej brutalność i potrafili odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ich kraj tak często padał ofiarą mocarstw. Nie należałoby też zaniedbywać głębokiej refleksji nad przyszłością Polski. Jak duże zagrożenie stanowią dla niej Niemcy i Rosja? Czy Stany Zjednoczone pozostaną zaangażowane w Sojusz Północnoatlantycki i obronę Europy? I w końcu – w jaki sposób Polska może zwiększyć swoje szanse na przetrwanie w XXI wieku?

Tragizm polityki mocarstw rzuca światło na te oraz wiele innych istotnych zagadnień. Głównym przesłaniem książki jest teza, że państwa zainteresowane przetrwaniem w niebezpiecznym świecie polityki międzynarodowej nie mogą uchylić się od zmagania o potęgę. Nawet te, które chciałyby tylko żyć w pokoju, są skazane na tę bezwzględną rywalizację.

Podstawową przyczyną walki o potęgę jest brak władzy nadrzędnej, do której państwa mogłyby odwołać się w razie zagrożenia. Innymi słowy: w systemie międzynarodowym nie ma żadnego stróża prawa. Co więcej, żadne państwo nie może być pewne tego, że inne państwa nie żywią wobec niego wrogich zamiarów, a tym bardziej – że nie będą ich żywić w przyszłości. Państwa muszą więc nieustannie analizować potencjalne zagrożenia.

Czy nasz sąsiad jest naszym przyjacielem? Czy dzisiejszy przyjaciel jutro nie okaże się wrogiem? Czy jesteśmy wystarczająco silni, by odeprzeć atak? Gdy intencje innych są nie do odgadnięcia, a w systemie brak stojącego na straży sprawiedliwości żandarma, każde państwo stara się zapewnić sobie bezpieczeństwo poprzez maksymalizację własnej potęgi.

Idealnym rozwiązaniem jest zdominowanie systemu, czyli osiągnięcie takiej przewagi nad rywalami, przy której zagrożenie dla własnego przetrwania niemalże zanika. Słabość natomiast ściąga kłopoty, gdyż w polityce międzynarodowej silni chętnie korzystają ze swojej potęgi kosztem słabych. Polakom, którzy tyle wycierpieli z rąk mocarstw, nie trzeba zresztą tego tłumaczyć.

Mało prawdopodobne jest, by którekolwiek państwo zdołało osiągnąć hegemonię globalną, gdyż projekcja siły poprzez wielkie akweny, takie jak Atlantyk i Pacyfik, nastęrcza ogromnych trudności. Nawet Stany Zjednoczone, pomimo wielkiego bogactwa i potęgi osiągniętych w ciągu ostatnich trzydziestu lat, nie są w stanie zdominować całej planety. Możliwe jest natomiast osiągnięcie hegemonii regionalnej, czego przykładem są właśnie USA – hegemon półkuli zachodniej. Za ostateczny cel mocarstw należy więc uznać hegemonię regionalną połączoną z gwarancją, że w żadnym innym regionie nie pojawi się lokalny hegemon. I tak Stany Zjednoczone włożyły wiele wysiłku, by powstrzymać cesarskie Niemcy, III Rzeszę oraz Związek Radziecki przed zdominowaniem Europy, zaś Japonię – przed zdominowaniem Azji. USA odegrały kluczową rolę w rozgromieniu wszystkich czterech potencjalnych hegemonów, dzięki czemu zachowały status jedyne go hegemonu regionalnego na świecie.

Zarysowana powyżej teoria stosunków międzynarodowych, którą nazywam realizmem ofensywnym, mówi wiele o międzynarodowym położeniu Polski. Pozwala przede wszystkim zrozumieć, dlaczego Niemcy i Rosja rywalizowały o kontrolę nad Europą Wschodnią, a także dlaczego każde z tych mocarstw w pewnych momentach historycznych dążyło do zdominowania całego kontynentu. Polska – państwo słabsze, lecz zajmujące strategicznie ważne terytorium – padała naturalnie ofiarą zmagających się sąsiadów. Gdyby to Polska była mocarstwem – wynika z mojej teorii – a Rosja lub Niemcy państwami słabszymi, sytuacja byłaby analogiczna: Polska dążyłaby wówczas do podporządkowania sobie słabszych sąsiadów, rywalizowałaby z innymi mocarstwami, a być może nawet podjęłaby próbę wywalczenia hegemonii regionalnej.

Polska jest dziś bezpieczniejsza niż w jakimkolwiek innym okresie swojej historii. Wynika to głównie z jej członkostwa w NATO, za którym idą gwarancje bezpieczeństwa ze strony Stanów Zjednoczonych. Sąsiedzi nie stanowią obecnie zagrożenia dla Polski. Niemcy są mocno zintegrowane z NATO i nie mogą pozwolić sobie na agresywną politykę w Europie Wschodniej; nie mają zresztą dość silnej armii. Rosja natomiast jest mocarstwem; w 2014 roku dokonała aneksji Krymu, pozostaje też mocno zaangażowana w wojnę domową na Ukrainie. Nie jest jednak wystarczająco silna, by zagrozić Polsce, a nawet gdyby była – może zostać odstraszona przez NATO, czyli w istocie przez amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa.

Fundamentalne, w świetle powyższych rozważań, dla przyszłości Polski pytanie brzmi: czy Stany Zjednoczone będą nadal utrzymywać siły zbrojne w Europie, czy też opuszczą Stary Kontynent, powodując tym samym upadek NATO? W tym drugim wypadku Warszawa byłaby zmuszona sama zadbać o swoje bezpieczeństwo, co byłoby – łagodnie rzecz ujmując – sytuacją nie do pozazdroszczenia. A zauważyć należy, że istnieją dziś dwa – związane ze sobą – powody, dla których Polacy mogą obawiać się wycofania wojsk amerykańskich z Europy.

Po pierwsze, wedle mojej teorii powodem zaangażowania militarnego mocarstw, takich jak USA, w odległych regionach nie jest utrzymywanie pokoju, lecz powstrzymywanie potencjalnych hegemonów. Stany Zjednoczone przystąpiły do obu wojen światowych, by zapobiec zdominowaniu Europy przez Niemcy, a po 1945 roku amerykańskie siły pozostały w Europie, by stanowić zaporę dla Związku Radzieckiego. Po upadku tego ostatniego w Europie zabrakło potencjalnego hegemonu, a jedyną misją wojsk USA na kontynencie pozostało zapewnianie pokoju.

Dlatego też ważne jest, by Polacy zrozumieli, z jak wyjątkową sytuacją mamy do czynienia. Mimo, iż siły USA pozostają obecne w Europie trzydzieści lat po zakończeniu zimnej wojny, z amerykańskiego punktu widzenia racjonalność takiego zaangażowania stoi pod znakiem zapytania. Amerykanie nie podejmowali przecież wysiłków na rzecz utrzymania pokoju w Europie w przededniu obu wojen światowych, a do każdego z tych konfliktów przystąpili dopiero kilka lat po jego rozpoczęciu. Co więcej – prezydent Trump dał się poznać jako zdeklarowany przeciwnik NATO, wielokrotnie sugerujący możliwość wycofania wojsk z Europy i przerzucenia odpowiedzialności za losy kontynentu na samych Europejczyków.

Po drugie – i istotniejsze – wzrost znaczenia Chin sprawia, że polityka USA coraz silniej ciąży ku Azji, co musi wiązać się z ograniczeniem zaangażowania w Europie. Jeśli Chiny nadal będą rozwijać się w obecnym imponującym tempie, z czasem osiągną zdolność zdominowania całej Azji. Dla Stanów Zjednoczonych taka sytuacja jest nie do przyjęcia, w związku z czym zrobią wszystko, by jej zapobiec – a powstrzymywanie Chin w Azji i innych strategicznie ważnych regionach, takich jak Zatoka Perska, będzie wymagało ogromnego wysiłku. W Europie tymczasem kandydata do hegemonii nie widać, co pozwala Waszyngtonowi mniej martwić się o Stary Kontynent. Zważywszy jedno i drugie, amerykańskim politykom trudno będzie uzasadnić utrzymywanie sił zbrojnych w Europie w jednym zaledwie celu – utrzymywania pokoju.

Z punktu widzenia Europy, a więc również Polski, ewentualne wycofanie sił amerykańskich miałyby katastrofalne konsekwencje. Gdyby do niego doszło, każde europejskie państwo musiałoby zatroszczyć się o własne bezpieczeństwo, a Stary Kontynent stałby się o wiele bardziej niebezpiecznym miejscem. Niewątpliwie zaostrzyłaby się rywalizacja między mocarstwami, wzrosłoby prawdopodobieństwo rozprzestrzeniania broni jądrowej a także ryzyko wybuchu wojen. Rzecz jasna właśnie obawa przed takim rozwojem wydarzeń i powtórka z burzliwej przeszłości stała za dotychczasową decyzją USA o utrzymaniu obecności wojskowej w Europie. Świat nie stoi jednak w miejscu; wzrost potęgi Chin może doprowadzić do obalenia europejskiego porządku, pozostawiając Polskę i inne państwa kontynentu samym sobie. Jeśli moja analiza jest poprawna, europejscy przywódcy powinni dołożyć wszelkich starań, by w nadchodzących latach nie dopuścić do wycofania sił USA z kontynentu europejskiego.

John J. Mearsheimer

16 kwietnia 2019

Przedmowa do wydania uaktualnionego

Pracę nad *Tragizmem polityki mocarstw* rozpocząłem niedługo po rozpadzie Związku Radzieckiego, w 1991 roku, a zakończyłem prawie dekadę później. W tym okresie wielu Amerykanów – w tym znacząca grupa naukowców – optymistycznie oceniało kierunek, w którym zmierzała polityka międzynarodowa. Powszechnie wierzone, że koniec zimnej wojny zwiastuje początek nowej epoki, w której nie będzie dochodziło do wojen między mocarstwami, a pojęcia takie jak równowaga sił (*balance of power*) będzie można odłożyć do lamusa. Ich miejsce miała zająć coraz ściślejsza współpraca międzynarodowa, której wieszczono świetlaną przyszłość. Realisci – tacy jak ja – stali się swego rodzaju gatunkiem zagrożonym, który miał wkrótce wyginąć jak dinozaury.

Niniejsza książka stanowiła próbę zakwestionowania tego optymistycznego podejścia do stosunków międzynarodowych. Bronilem w niej tezy, że dawne niebezpieczeństwa nie zniknęły, a realizm polityczny pozostaje użytecznym narzędziem rozumienia otaczającej nas rzeczywistości. Trzon dzieła poświęcony został mojej autorskiej teorii polityki międzynarodowej. Różni się ona pod wieloma względami od słynnych teorii realistycznych Hansa Morgenthaua i Kennetha Waltza. Staralem się jednak przekonać czytelników, że moje założenia i wnioski okazały się adekwatne do realiów XXI wieku.

Z początku moje dzieło nie wywołało szerszego odzewu. U progu XXI wieku stan spraw międzynarodowych nie budził jeszcze niepokoju. Zmieniło się to dopiero w 2004 roku, wraz z fiaskiem interwencji w Iraku oraz kolejnymi niepowodzeniami Stanów Zjednoczonych w Afganistanie. Stało się wówczas jasne, że amerykańskim zmaganiom z terroryzmem końca nie widać. Nic więc dziwnego, że optymizm lat dziewięćdziesiątych niemal całkowicie ustąpił o wiele bardziej pesymistycznej ocenie polityki międzynarodowej, połączonej z narastającą troską o kierunek obrany przez USA. Obecnie większość Amerykanów rozumie, że na świecie jest

wiele punktów zapalnych, a przyczyny konfliktów są trudne – czasami wręcz niemożliwe – do wyeliminowania.

Zmiana postrzegania stosunków międzynarodowych nie dziwi, kiedy weźmiemy pod uwagę, że od zakończenia zimnej wojny ćwierć wieku temu Stany Zjednoczone stoczyły aż sześć wojen: w Iraku (1991), w Serbii (konflikt bośniacki, 1995), ponownie w Serbii (konflikt kosowski, 1999), w Afganistanie (od 2001 do chwili obecnej), w Iraku (od 2003 do 2011) oraz w Libii (2011). Amerykańskie siły zbrojne prowadziły działania wojenne przez mniej więcej dwie trzecie czasu, jaki upłynął od 1989 roku. Przeciwnikami były jednak zawsze państwa stosunkowo słabe. W ciągu tych dwudziestu pięciu lat Stany Zjednoczone nie musiały obawiać się realnego zagrożenia ze strony jakiegokolwiek innego mocarstwa.

Sytuacja ta zmienia się jednak z uwagi na wzrost potęgi Chin. Jeżeli szybki rozwój chińskiej gospodarki utrzyma się przez kilka kolejnych dekad, Waszyngton niemal z pewnością będzie musiał – po raz pierwszy od zakończenia zimnej wojny – stawić czoło równemu sobie przeciwnikowi. Przeprowadzone przez Pew Research Global Attitudes Project w 2013 roku badanie opinii publicznej wskazywało, że „w 23 spośród 39 krajów większość respondentów, lub też ich najliczniejsza grupa, uważała, że Chiny już zdetronizowały Stany Zjednoczone jako najważniejsze supermocarstwo świata, lub też że stanie się to w przyszłości”¹. Nawet w USA 47% ankietowanych stwierdzało, że Chiny z czasem wysforują się na pierwsze miejsce (47% było przeciwnego zdania).

Wobec wzrostu potęgi Chin trudno nie zadać sobie pytania: czy proces ten może przebiegać w sposób pokojowy? Odpowiedzi poszukiwałem już w pierwszym wydaniu *Tragizmu...*, gdyż pod koniec lat dziewięćdziesiątych wiele wskazywało na to, że Chiny staną się krajem o szczególnie dużym znaczeniu. Stwierdziłem wówczas, że jeśli rozwój Chin nie ulegnie zahamowaniu, kraj ten zbuduje potężne siły zbrojne i podejmie próbę uzyskania w Azji statusu hegemonu, analogicznego do pozycji USA na półkuli zachodniej. Zdominowanie własnego regionu – argumentowałem – to dla każdego państwa najlepszy sposób na zagwarantowanie sobie bezpieczeństwa. Prognozowałem również, że sąsiedzi Chin przy współudziale Stanów Zjednoczonych będą starali się powstrzymać ambicje Pekinu, a będące

¹ *America's Global Image Remains More Positive Than China's: But Many See China Becoming World's Leading Power*, Pew Research Global Attitudes Project, Washington DC, 18 lipca 2013.

efektem tych przeciwstawnych dążeń zmagania zachwieją bezpieczeństwem całej Azji.

Pierwsze wydanie *Tragizmu...* ukazało się w 2001 roku; od tego czasu przekonywałem w licznych wystąpieniach, że wzrost potęgi Chin nie będzie przebiegać w sposób pokojowy. Niektóre z tych wystąpień miały miejsce w samych Chinach. W 2004 roku debatowałem na ten temat ze Zbigniewem Brzezińskim, byłym doradcą prezydenta Jimmy'ego Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego². W ciągu pierwszych kilku lat moje argumenty nie trafiały do przekonania większości słuchaczy, a w najlepszym razie były przyjmowane z rezerwą. Ów sceptycyzm zaczął ustępować dopiero po 2008 roku, po części za sprawą nieustającego wzrostu potęgi Chin, lecz także z powodu ich coraz większej asertywności na arenie międzynarodowej, która zaniepokoiła zarówno sąsiadów Państwa Środka, jak i Stany Zjednoczone. Obecnie moja prognoza przyszłych stosunków chińsko-amerykańskich znajduje o wiele więcej zrozumienia.

Zważywszy, że wzrost potęgi Chin prawdopodobnie okaże się najważniejszym wydarzeniem XXI wieku oraz biorąc pod uwagę poważne ryzyko, że proces ten może doprowadzić do wojny, uznałem za wskazane uzupełnienie książki o dodatkowy rozdział, w którym szczegółowo wyłożyłem mój pogląd na tę kwestię. Chociaż była ona poruszana już w pierwszym wydaniu z 2001 roku, nie poświęciłem jej wystarczająco dużo uwagi, gdyż w tamtym czasie zajmowałem się również wieloma innymi sprawami. Całościowego ujęcia kwestii chińskiej nie zawarłem również w żadnym innym opublikowanym od tamtej pory dziele. Z tego też powodu nowy rozdział podsumowujący poświęcony jest niemal wyłącznie Chinom i zawiera kompleksowe uzasadnienie przekonania, że dalszy wzrost potęgi Chin wiąże się z dużym ryzykiem poważnych konfliktów w Azji.

Jeśli pominąć niniejszą przedmowę oraz nowy rozdział o Chinach, książka nie różni się praktycznie od pierwszego wydania. Przede wszystkim nie uległa zmianie teoria realizmu ofensywnego. Niektórzy czytelnicy mogą być tym zaskoczeni, zważywszy, że wzbudziła ona szeroką dyskusję, a część badaczy poddała ją ostrej krytyce. Poświęconą mojej teorii uwagę przyjmuję z satysfakcją, a wszelką krytykę – tę ogólną i tę szczegółową – z powagą. Merytoryczna polemika jest wszak oznaką najwyższego szacunku, jaki

² Zapis debaty opublikowano w: Zbigniew Brzezinski, John J. Mearsheimer, *Clash of the Titans*, „Foreign Policy”, nr 146 (styczeń–luty 2005), s. 46–49.

jeden naukowiec może okazać drugiemu. Niemniej jestem przekonany, że realizm ofensywny oparł się z powodzeniem formułowanym pod jego adresem zarzutom. Nie oznacza to, rzecz jasna, że jest teorią doskonałą, która nie zostanie nigdy wyparta przez inne – na razie jednak nie widzę powodu, by wywód zawarty w pierwszym wydaniu *Tragizmu...* wymagał poprawy.

W nowym, końcowym rozdziale posługuję się realizmem ofensywnym, by udzielić odpowiedzi na pytanie, które w nadchodzących dekadach niewątpliwie będzie zaprzętać głowy politykom, przedstawicielom rozmaitych dyscyplin naukowych, a także zainteresowanym sytuacją międzynarodową ludziom z całego świata: czy wzrost potęgi Chin może przebiegać w sposób pokojowy? Niestety, moja odpowiedź brzmi: nie.

Pragnę w tym miejscu podziękować ośmiu osobom, które zrecenzowały nowy rozdział książki i których uwagi pozwoliły na jego znaczące ulepszenie. Są to: Jessica Alms, Charles Glaser, Michael J. Reese, Marie-Eve Reny, Michael Rowley, Luke Schumacher, Yuan-Kang Wang i przede wszystkim Stephen Walt. Wczesny szkic rozdziału zaprezentowałem na konferencji zorganizowanej w ramach Program on International Political Economy and Security (PIPES) na Uniwersytecie w Chicago. Uczestnicy panelu przedstawili obszerne uwagi, które okazały się bardzo przydatne w pracy nad wersją ostateczną. Jestem głęboko wdzięczny za całą okazaną mi pomoc i – rzecz jasna – przyjmuję odpowiedzialność za wszelkie niedociągnięcia.

Szczególne podziękowania pragnę złożyć na ręce Roby'ego Harringtona, redaktora zajmującego się moją książką w wydawnictwie Norton. To on pierwszy zasugerował przygotowanie uaktualnionego wydania *Tragizmu...* Jego pierwotny zamiysł zakładał opublikowanie dzieła w 2011 roku, w dziesiątą rocznicę pierwszego wydania. Podobnie jednak, jak wówczas, osiągnięcie wyznaczonego celu zajęło mi więcej czasu, niż się spodziewałem. Roby jest moim bliskim przyjacielem od niemal dwudziestu pięciu lat i bardzo wiele mu zawdzięczam. Jestem też wdzięczny Lisie Camner McKay, redaktor odpowiedzialnej za wydanie uzupełnione, która fachowo nadzorowała prace nad przygotowaniem niniejszej książki do druku.

Przedmowa do wydania pierwszego

Wiek XX był okresem wielkiej przemocy na arenie międzynarodowej. Na europejskich polach bitew pierwszej wojny światowej (1914–1918) zginęło około dziewięć milionów ludzi. Około pięćdziesięciu milionów – głównie cywilów – straciło życie w czasie drugiej wojny światowej (1939–1945). Niedługo po 1945 roku świat ogarnęła zimna wojna. Nie przyniosła ona, co prawda, bezpośredniego starcia Związku Radzieckiego i jego sojuszników z Układem Warszawskim ze Stanami Zjednoczonymi i Paktem Północnoatlantyckim, lecz w wojnach zastępczych w Korei, Wietnamie, Afganistanie, Nikaragui, Angoli, Salwadorze i innych państwach zginęły miliony ludzi. Kolejne miliony ofiar pochłonęły mniejsze, lecz nie mniej brutalne konflikty XX wieku: wojny rosyjsko-japońskie w latach 1904–1905 i 1939, interwencja aliantów w czasie rosyjskiej wojny domowej w latach 1918–1920, wojna polsko-bolszewicka w latach 1920–1921, liczne wojny arabsko-izraelskie oraz wojna iracko-irańska (1980–1988).

Ten cykl przemocy będzie trwał również w nowym tysiącleciu. Nadzieje na pokój światowy prawdopodobnie okażą się płonne, gdyż mocarstwa, które kształtują system międzynarodowy, obawiają się siebie nawzajem, a co za tym idzie – rywalizują o potęgę. Ostatecznym celem każdego z nich jest zdominowanie w tym zakresie pozostałych mocarstw, gdyż dominacja to najlepszy sposób, by zapewnić sobie przetrwanie. Siła zapewnia bezpieczeństwo, a największa siła jest najlepszą polisą ubezpieczeniową. Państwa podlegające takim impulsom są skazane na konflikt, gdyż każde z nich stara się uzyskać przewagę kosztem konkurentów. Jest to sytuacja tragiczna, lecz nie ma od niej ucieczki, chyba że współzawodniczące mocarstwa postanowią utworzyć rząd światowy. Tak fundamentalna przemiana jest jednak bardzo mało prawdopodobna, a zatem antagonizmy i wojny będą nadal stanowić istotny i trwały element polityki światowej.

Tej ponurej prognozie można by przeciwstawić stwierdzenie, że wiek XX dobiegł końca w atmosferze pokoju – wraz z zakończeniem zimnej

wojny – a stosunki między mocarstwami u progu nowego tysiąclecia są raczej przyjazne. To niewątpliwie prawda, ale wnioskowanie o przyszłości poprzez prostą ekstrapolację teraźniejszości nie zwiastuje poważnej analizy naukowej.

Zastanówmy się, do jakich wniosków prowadziłyby Europejczyków podobne rozumowanie u progu każdego z dwóch ubiegłych stuleci. W roku 1800 na kontynencie trwały wojny z napoleońską Francją, stanowiące kontynuację wojen z Francją rewolucyjną (okres 1792–1815), angażujące wszystkie ówczesne mocarstwa. Te krwawe wydarzenia sprzyjać mogły przekonaniu, że wiek XIX wypełnią wojny między mocarstwami. W rzeczywistości jednak był to jeden z najspokojniejszych okresów w historii Europy. Z kolei w roku 1900 na kontynencie europejskim nie toczył się żaden konflikt zbrojny, w którym brałoby udział którekolwiek z mocarstw; niewiele też wskazywało, by do konfliktu takiego mogło dojść w nieodległej przyszłości. Ówczesny obserwator mógłby więc dojść do wniosku, że wiek XX będzie okresem pokoju. Jak wiemy – było zgoła inaczej.

Ogólne teorie stosunków międzynarodowych są użytecznymi narzędziami prognozowania tego, co nas czeka w przyszłości. Najlepsze z nich to takie, które opisują typowe zachowania mocarstw wobec siebie nawzajem i wyjaśniają przyczyny podejmowanych przez nie działań. Dobra teoria pozwala także zrozumieć działania mocarstw w przeszłości i wytłumaczyć, dlaczego niektóre epoki obfitowały w konflikty międzynarodowe, a inne nie. Jeżeli teoria spełnia te warunki i pomaga zrozumieć historię, może również służyć formułowaniu przydatnych prognoz na przyszłość.

Teoria polityki międzynarodowej, którą nazywam realizmem ofensywnym, stanowiąca przedmiot niniejszej książki, spełnia – moim zdaniem – powyższe wymagania. Opiera się ona na z gruntu realistycznych przesłankach i tym samym nawiązuje do tradycji myślicieli pokroju E.H. Carra, Hansa Morgenthaua oraz Kennetha Waltza. Jest przy tym niezbyt skomplikowana i można ją ująć w kilka prostych twierdzeń. Jednym z ważniejszych jest to, że każde z mocarstw dąży do maksymalizacji swej relatywnej potęgi. Innym – że systemy wielobiegunowe, w skład których wchodzi jeden szczególnie potężny gracz – potencjalny hegemon – są szczególnie narażone na wybuch konfliktu zbrojnego.

Zarówno te, jak i inne tezy niniejszej książki mogą być uznane za kontrowersyjne. Logika wywodu, który za nimi stoi, jest jednak – moim

zdaniem – niepodważalna. Co więcej, twierdzenia te wytrzymują konfrontację z przebiegiem wydarzeń historycznych, w szczególności z kształtowaniem się relacji pomiędzy mocarstwami od roku 1792 począwszy. Moja teoria pozwala wreszcie na sformułowanie prognozy dalszego rozwoju sytuacji międzynarodowej.

Tragizm polityki mocarstw jest przeznaczony zarówno dla badaczy – moich kolegów po fachu – jak i dla szerszego grona czytelników zainteresowanych mechanizmami polityki międzynarodowej. Mając na uwadze obie grupy odbiorców starałem się, by wywód był przejrzysty i odarty z żargonu akademickiego. Towarzyszyły mi stale słowa przestrogi, której krytyk literacki Lionel Trilling udzielił niegdyś sławnemu socjologowi C. Wrightowi Millsowi: „Musisz sobie wyobrazić, że poproszono cię o wygłoszenie wykładu na jakiś dobrze ci znany temat przed audytorium złożonym z wykładowców i studentów wszystkich wydziałów czołowego uniwersytetu oraz grona zainteresowanych ludzi z pobliskiego miasta. Wyobraź sobie, że masz przed sobą taką publiczność i że ma ona prawo wiedzieć; wyobraź sobie, że chcesz, żeby się dowiedzieli. Teraz zacznij pisać”³. Mam nadzieję, że czytelnicy uznają, że udało mi się zrobić dobry użytek z porady Trillinga.

³ C. Wright Mills, *Wyobrażenia socjologiczne*, tłum. Marta Bucholc, red. nauk. i przedm. do wyd. pol. Janusz Mucha, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007, s. 336.

Podziękowania

Choć argumentacja zawarta w niniejszej książce pochodzi ode mnie, w pracach nad nią pomocą służyło mi wiele osób i instytucji.

Wielu spośród moich kolegów poświęciło swój cenny czas na lekturę i recenzję rękopisu. Ślady ich pracy są rozsiane po całym tekście. Niemal każdy spośród czytelników zachęcił mnie do porzucenia jakiegoś mylnego argumentu lub przemyślenia fragmentu wywodu. Strach pomyśleć, ile chybionych myśli i błędów faktograficznych zawierałaby niniejsza książka, gdyby nie uwagi recenzentów – choć, rzecz jasna, nie wszystkie sugestie zostały przeze mnie zaakceptowane i to ja ponoszę odpowiedzialność za ewentualne błędy. Jestem więc wdzięczny Colinowi Elmanowi, Michaelowi Deschowi, Peterowi Libermanowi, Karłowi Muellerowi, Marcowi Trachtenbergowi oraz – przede wszystkim – Stephenowi Waltowi; każdy z nich przeczytał i zrecenzował cały tekst, a wybrane jego fragmenty przeanalizował kilkakrotnie. Cenne uwagi przekazywali mi również Robert Art, Deborah Avant, Richard Betts, Dale Copeland, Michael Creswell, Michael Doyle, David Edelstein, Benjamin Frankel, Hein Goemans, Jack Goldsmith, Joseph Grieco, Arman Grigorian, David Herrmann, Eric Labs, Karl Lautenschlager, Christopher Layne, Jack Levy, Michael Mandelbaum, Karen Mingst, Takayuki Nishi, Robert Pape, Barry Posen, Daryl Press, Cynthia Roberts, Robert Ross, Brian Schmidt, Jack Snyder, Stephen Van Evera oraz Alexander Wendt. Z góry przepraszam, jeśli kogoś pominąłem na tej liście.

Podziękowania należą się również licznyim asystentom, którzy wspierali mnie w wieloletniej pracy nad książką – należy tu wymienić Roshnę Balasubramanian, Davida Edelsteina, Daniela Ginsberga, Andrzeja Jett, Setha Jonesa, Keira Liebera, Daniela Marcinaka, Justine Rosenthal, Johna Schusslera oraz Stevena Weila. Szczególnie wdzięczny jestem Alexandrowi Downesowi, który przygotował większość zamieszczonych w książce tabel i map, i który nieustrudzenie zgłębiał na moją prośbę rozmaite zagadnienia.



Gdy finalizowałem przedostatnią wersję rękopisu, nowojorski Council on Foreign Relations (CFR) uhonorował mnie stanowiskiem Whitney H. Shepardson Fellow (1998–1999), przeznaczonym dla autorów, dla umożliwienia im doprowadzenia do końca prac nad publikacjami. Powołana przez CFR grupa naukowa spotkała się trzykrotnie w Nowym Jorku celem przedyskutowania wybranych rozdziałów książki. Richard Betts znakomicie sprawdził się w roli przewodniczącego, zaś w skład zespołu weszli Robert Jervis, Jack Levy, Gideon Rose, Jack Snyder, Richard Ullman, Kenneth Waltz oraz Fareed Zakaria. Zespół nie szczędził mi krytyki, która okazała się jednak w znakomitej części bezcenna dla prac nad ostateczną wersją tekstu. Dzięki uprzejmości CFR miałem też możliwość zaprezentowania wybranych rozdziałów na prelekcjach w San Francisco i Waszyngtonie, gromadząc przy tym cenne uwagi od słuchaczy.

Po każdym z nowojorskich posiedzeń zespołu badawczego CFR uda-
wałem się taksówką na Uniwersytet Columbia, gdzie prezentowałem oma-
wiane przed chwilą rozdziały na seminariach prowadzonych przez dwóch
doktorantów: Armana Grigoriana oraz Holgera Schmidta. Uczestnicy tych
zajęć sformułowali wiele przenikliwych uwag, które pomogły mi w dopre-
cyzowaniu mojej argumentacji w wielu rozmaitych aspektach.

Trudno przecenić rolę, jaką w powstaniu tej książki odegrał Uniwer-
sytet w Chicago. Bogate i inspirujące środowisko akademickie, a także
zabezpieczenie wszelkich potrzeb naukowych sprawiają, że nie sposób
wyobrazić sobie lepszego miejsca do prowadzenia badań. W Chicago
miałem okazję zetknąć się z licznymi utalentowanymi doktorantami, co
pozwoliło mi nie tylko na udoskonalenie mojego warsztatu, lecz również
znaczące poszerzenie wiedzy na temat teorii i historii stosunków między-
narodowych. Pragnę podziękować także administracji Wydziału Nauk
Politycznych (w osobach Kathy Anderson, Heidi Parker i Mimi Walsh)
za wieloletnie wsparcie logistyczne.

Chciałbym też podkreślić ogromny dług wdzięczności wobec czwórki
mentorów, którzy służyli mi wsparciem na wczesnych etapach mojej kariery
naukowej. William Schwartz wprowadził mnie w zagadnienia bezpieczeń-
stwa międzynarodowego, gdy byłem magistrantem w West Point. Charles
Powell nadzorował moje studia doktoranckie na Uniwersytecie Południo-
wej Kalifornii, zaś George Quester i Richard Rosecrance byli promotorami
mojej rozprawy doktorskiej złożonej w Cornell University. Nie zostałbym
naukowcem, a co za tym idzie – nie napisałbym niniejszej książki bez ich

wsparcia oraz bez pomocy ze strony instytucji, w których oni wykładali, a ja pobierałem nauki. Jestem im za to do zgonnie wdzięczny.

Na pomysł napisania niniejszej książki wpadł mój redaktor w wydawnictwie Norton, Roby Harrington. On też niestrudzenie współpracował ze mną, mimo iż projekt okazał się bardziej czasochłonny, niż którykolwiek z nas przewidywał. Cierpliwość i mądrość Roby'ego trudno przecenić. Wnikliwą i sumienną adiustację rękopisu przeprowadziła Traci Nagle, zaś Avery Johnson i Rob Whiteside sprawnie przygotowali książkę do druku.

Na koniec pragnę podziękować mojej rodzinie. Pisanie książki to z reguły długotrwały i bolesny proces. Porównałbym go do codziennych wielogodzinnych zapasów z niedźwiedziem. Ostateczne pokonanie niedźwiedzia wymaga pomocy ze strony domowników, a także wsparcia na arenie zmagania intelektualnych. Na moje szczęście – jedno i drugie zostało mi okazane. Najważniejsze podziękowania należą się mojej żonie Pameli, której tak wiele zawdzięczam. To jej właśnie dedykuję niniejszą książkę.